

[fragment książki](#)

I

Pomnik

Holograf z Ardua Hall

1

Jedynie zmarli mają prawo do pomników, ale ja otrzymałam swój już za życia. Już jestem skamieniała.

Pomnik stanowił drobny wyraz uznania dla moich licznych zasług, jak usłyszeliśmy w laudacji odczytanej przez Ciotkę Widalę. Wygłoszenie laudacji polecili jej nasi przełożeni, lecz była daleka od aprobaty. Podziękowałam jej najskromniej, jak potrafiłam, następnie pociągnęłam za sznur, uwalniając drapującą mnie tkaninę, która powłóczyście opadła na ziemię, i oto się ukazałam. W Ardua Hall nie wiwatujemy, ale dały się słyszeć dyskretne oklaski. Skłoniłam głowę.

Mój pomnik, o rozmiarach większych od naturalnych, tak jak należy, przedstawia mnie młodszą, szczuplejszą i zgrabniejszą, niż jestem od pewnego już czasu. Stoję wyprostowana, z odciągniętymi ramionami, usta mam wygięte w zdecydowanym, lecz dobrodusznym uśmiechu. Oczy utkwiłam w pewnym kosmicznym punkcie odniesienia, mającym symbolizować mój idealizm, nieustępliwe oddanie powinnościom, determinację dążenia naprzód pomimo wszelkich przeszkód. Co nie znaczy, że mój pomnik dostrzegłby cokolwiek na niebie, skoro stoi w posępnej kępie drzew i zarośli przy ścieżce biegnącej przed Ardua Hall. My, Ciotki, nie powinnyśmy być nadmiernie zarozumiałe, nawet wykute w kamieniu.

Siedmio-, może ośmioletnia dziewczynka trzyma mnie za lewą rękę i wpatruje się we mnie ufnie. Prawą dłoń położyłam na głowie klęczącej obok kobiety z woalką na włosach, zwracającej w górę oczy, w których można wyczytać lęk lub wdzięczność – to jedna z naszych Podręcznych – za mną zaś stoi jedna z moich Perłowych Dziewcząt, gotowa wyruszyć na działalność misyjną. U pasa mam paralizator. Broń przypomina mi o moich własnych niedociągnięciach: gdybym była skuteczniejsza, nie potrzebowałabym takiego urządzenia. Wystarczyłaby perswazja w głosie.

Ponieważ pomnik stoi pośród innych, trudno go uznać za wielki sukces: zbyt duży tu tłok. Wolałabym być bardziej wyeksponowana. Ale przynajmniej wyglądam na kobietę przy zdrowych zmysłach. Z łatwością mogłoby stać się inaczej, bo rzeźbiarka w podeszłym wieku – żarliwa wyznawczyni, która już zmarła – lubiła obdarzać swe modelki wyłupiastymi oczami, mającymi świadczyć o świątobliwej żarliwości. Na wykonanych przez nią popiersiach Ciotka Helena wygląda, jakby miała wściekliznę, Ciotka Widala – jakby cierpiała na nadczynność tarczycy, natomiast Ciotka Elizabeth wydaje się zaraz eksplodować.

Podczas ceremonii odsłonięcia pomnika rzeźbiarka nie kryła zdenerwowania. Czy oddała mnie z należyтым szacunkiem? Czy zaaprobowała jej dzieło? Czy to okażę? Igrałam z myślą, by po opadnięciu tkaniny zmarszczyć czoło, ale postąpiłam inaczej: nie jestem pozbawiona współczucia.

– Bardzo wierna podobizna – stwierdziłam.

To było dziewięć lat temu. Od tamtej pory ząb czasu zostawił swoje piętno na pomniku: upstrzyły mnie gołębice, w wilgotnych zagłębieniach mego ciała wyrósł mech. Wyznawczynie składają dary u mych stóp: jajka płodności, pomarańcze symbolizujące pełnię ciąży, croissanty jako odnośnik do księżyca. Wypieków nie dotykam – zazwyczaj są rozmiękłe od deszczu – ale pomarańcze zabieram. Pomarańcze są takie orzeźwiające.



Piszę te słowa w mojej samotni w Ardua Hall – jednej z ostatnich bibliotek ocalałych po entuzjastycznym paleniu ksiązek, jakie nastąpiło w całym kraju. Zdeprawowane, krwawe odciski palców przeszłości należy wytrzeć, aby stworzyć czystą przestrzeń dla moralnie nieskalanego pokolenia, które z pewnością nadejdzie. Tyle, jeśli chodzi o teorię.

Jednak pośród krwawych odcisków palców są i te, które zostawiłmy sami, a one nie dają się tak łatwo wytrzeć. Przez lata pogrzebałam wiele kości; teraz zamierzam je na powrót odkopać, choćby tylko dla twego oświecenia, nieznany czytelniku. Jeśli to czytasz, to znaczy, że przynajmniej ten rękopis przetrwał. Może jednak fantazuję, może nigdy nie będę miała czytelnika. Może przyjdzie mi mówić do ściany, i to nie w jednym znaczeniu.

Dość gryzmolenia na dziś. Boli mnie ręka, czuję rwanie w plecach, a już czeka na mnie tradycyjny wieczorny kubek gorącego mleka. Dobrze ukryję ten elaborat, z dala od kamer – wiem, gdzie są, bo sama je instalowałam. Pomimo wszelkich środków ostrożności zdaję sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuję: pisanie może być niebezpieczne. Jakie zdrady, jakie denuncjacje mogą mnie spotkać? W Ardua Hall nie brakuje osób, które chętnie dostałyby te kartki w swoje ręce.

Poczekajcie, radzę im bezgłośnie: będzie jeszcze gorzej.

II

Drogocenny kwiat

Zapis zeznania świadka 369A

2

Prosiłście, abym opowiedziała wam o moim dzieciństwie w Gileadzie. Powiedzieliście, że byłoby to pomocne, a ja chcę pomóc. Pewnie spodziewacie się samych potworności, ale tak naprawdę w Gileadzie, podobnie jak gdzie indziej, wiele dzieci kochano i otaczano troską, wielu dorosłych miało dobre serca, choć byli omylni, tak jak gdzie indziej.

Mam też nadzieję, że będziecie pamiętać, iż wszyscy czujemy tęsknotę za wszelkim dobrem, którego zazналиśmy jako dzieci, jakkolwiek dziwaczne może się innym wydać to dzieciństwo. Zgadzam się, że Gilead powinien pójść w niepamięć – zbyt wiele było w nim nieprawidłowości, zbyt wiele fałszu i zbyt wiele rzeczy na pewno przeciwnych temu, czego życzył sobie Bóg – musicie jednak pozwolić mi na opłakiwanie dobra, które przepadnie.

W szkole ubierałyśmy się na różowo wiosną i latem, w kolorze śliwkowym jesienią i zimą, a biel była zarezerwowana na specjalne okazje: niedziele i uroczystości. Chodziłyśmy z zakrytymi ramionami, zakrytymi włosami, w spódniczkach do kolan przed ukończeniem piątego roku życia, potem najwyżej pięć centymetrów nad kostkę, ponieważ popędy mężczyzn były straszliwą rzeczą, którą należało trzymać w ryzach. Męskie oczy, które

nieustannie krążyły tu i tam jak ślepie tygrysów, te reflektorowe oczy należało osłaniać przed naszą pociągającą, wręcz oślepiającą mocą – naszymi zgrabnymi, chudymi lub grubymi nogami, naszymi wdzięcznymi, kanciastymi albo pulchnymi ramionami, naszą brzoskwińską lub pełną skaz cerą, naszymi włosami, czy były to lśniące loki, czy szorstkie, skołtunione czupryny, czy cienkie warkoczki – to wszystko nie miało znaczenia. Niezależnie od naszych kształtów i rysów twarzy mimowolnie byliśmy powabnymi przynętami, niewinnymi przyczynami, które, ze względu na samą swoją naturę, mogły sprawić, że mężczyźni upijali się żądzą, zataczali się, gotowi runąć ze skraju – skraju czego, zastanawialiśmy się, czy było to coś podobnego do przepaści? – i w płomieniach poszybować w dół, niczym śnieżki z płonącej siarki ciśnięte gniewną ręką Boga. Byliśmy kustoszami bezcennego skarbu, ukrytego w nas samych; byliśmy drogocennymi kwiatami, które należało trzymać pod bezpieczną osłoną szklarni, bo inaczej zwabiono by nas w pułapkę, zerwano nam płatki, a nasz skarb zostałby wykradziony, rozerwaliby i zdeptali nas wygłodniali mężczyźni czający się za każdym rogiem, tam, w szerokim grzesznym świecie ostrych kantów.

Tego rodzaju rzeczy opowiadała nam w szkole pociągająca nosem Ciotka Widala, podczas gdy my ozdabialiśmy haftem krzyżkowym chusteczki, obicia na podnóżki i oprawione obrazki; najpopularniejszymi wzorami były kwiaty w wazonie i owoce w misie. Ciotka Estée, nasza ulubiona nauczycielka, mawiała jednak, że Ciotka Widala przesadza i nie ma sensu nas straszyć, ponieważ wpajanie nam takiej awersji może negatywnie wpłynąć na szczęście naszego przyszłego życia małżeńskiego.

„Nie wszyscy mężczyźni są tacy, dziewczęta – uspokajała nas. – Ci lepsi posiadają szlachetne charaktery. Niektórzy są zdolni do przyzwoitej powściągliwości. Kiedy wyjdziecie za mąż, wydadzą wam się całkiem inni, wcale nie tacy straszni”. Co nie znaczy, że Ciotki mogły wiedzieć coś na ten temat, ponieważ nie miały

prawa wychodzić za mąż. Właśnie dlatego mogły mieć swoje piśmiennictwo i książki.

„My, wspólnie z waszymi ojcami i matkami, mądrze wybieremy dla was mężów, gdy nadejdzie pora – mówiła Ciotka Estée. – Nie macie powodu do niepokoju. Uczcie się pilnie, ufajcie, że starsi będą wiedzieli, co jest dla was najlepsze, a wszystko ułoży się jak trzeba. Będę się o to modliła”.

Jednak pomimo dołeczków w policzkach i przyjaznego uśmiechu Ciotki Estée gorę brała wersja Ciotki Widali. Pojawiała się w moich snach: szklarnia rozpryskiwała się na kawałki, potem następowało rozdzieranie, rozrywanie, deptanie racicami, a różowe, białe i śliwkowe fragmenty mego ciała były rozrzucone po ziemi. Grozą napełniała mnie myśl, że dorosnę na tyle, by móc wyjść za mąż. Nie wierzyłam w mądry wybór Ciołek: bałam się, że poślubię płonącego kozła.

Różowe, białe i śliwkowe sukienki były zarezerwowane dla specjalnych dziewcząt, takich jak my. Zwyczajne dziewczęta z Ekonoro-dzin ubierały się zawsze tak samo – w szkaradne, podobne do ubrań ich matek peleryny, szare i w wielobarwne paski. Zamiast haftu krzyżkowego i szydełkowania uczyły się tylko zwykłego szycia, robienia papierowych kwiatów i tego rodzaju zajęć. W przeciwieństwie do nas nie miały poślubić najlepszych mężczyzn – Synów Jakuba oraz innych Komendantów i ich synów – chociaż mogły zostać wybrane, jeśli po osiągnięciu dorosłości okazywały się wystarczająco ładne.

Nikt tak nie mówił. Nie należało się pysznić urodą, to nie było skromne, nie należało też zwracać uwagi na urodę innych. Mimo to my, dziewczęta, znałyśmy prawdę: lepiej być ładną niż brzydką. Nawet Ciotki więcej troski okazywały tym ładnym. Jeśli jednak zostałaś zawczasu wybrana, uroda nie odgrywała aż tak wielkiej roli.

Nie miałam zęba jak Hulda, nie marszczyłam czoła jak Shunemit, nie miałam trzech włosów brwiowych na krzyż jak Becka,

a jednak byłam nieukończona. Moja pucułowata twarz przypominała ciastka z oczkami z rodzynek i zębami z pestek dyni, te, które piekła dla mnie Zilla, moja ulubiona Marta. Chociaż nie byłam szczególnie ładna, byłam bardzo, ale to bardzo wybrana: nie tylko wybrana zawczasu, by poślubić Komendanta, lecz także wybrana przez Tabithę, moją matkę.

Oto co opowiadała mi Tabitha:

– Udałam się na spacer do lasu, gdzie natrafiłam na zaklęty zamek, w którym zamknięto wiele dziewczynek, i żadna z nich nie miała matki, a złe wiedźmy rzuciły na nie zaklęcie. Miałam magiczny pierścień, którym otworzyłam zamek, ale mogłam uratować tylko jedną dziewczynkę. Dokładnie im się przyjrzałam i wreszcie z całej tej gromady wybrałam ciebie!

– Co się stało z innymi? – pytałam. – Z innymi dziewczynkami?

– Uratowały je inne matki – odpowiadała Tabitha.

– One też miały magiczne pierścienie?

– Oczywiście, kochanie. Aby zostać matką, musisz mieć magiczny pierścień.

– Gdzie jest magiczny pierścień? – pytałam. – Gdzie on teraz jest?

– Tu, na moim palcu – mówiła matka, pokazując czwarty palec lewej dłoni. Serdeczny, jak go nazywała. – Ale mój pierścień miał tylko jedno życzenie, które zużyłam na ciebie. Teraz jest więc zwykłym matczynym pierścieniem.

Wtedy wolno mi było przymierzyć pierścione, cały złoty, z trzema diamentami: jednym dużym i dwoma mniejszymi po bokach. Naprawdę wyglądał, jakby kiedyś był magicznym pierścieniem.

– Czy wzięłaś mnie na ręce – pytałam – i wyniosłaś z lasu? – Znałam tę historię na pamięć, ale lubiłam, kiedy matka ją powtarzała.

– Nie, kochanie, na to byłaś już za duża. Gdybym cię niosła, zaczęłabym kaszleć, a wtedy wiedźmy by nas usłyszały. – Wiedziałam, że to prawda: matka rzeczywiście sporo kaszlała. – Tak więc

wzięłam cię za rękę i wykradliśmy się z zamku, żeby nie usłyszały nas wiedźmy. Obie mówiłyśmy „ćśś, ćśś” – tu przytykała palec do ust, ja robiłam to samo i z zachwytem szeptałam „ćśś” – a potem musiałyśmy pędzić przez las, żeby uciec złym wiedźmom, ponieważ jedna z nich zauważyła, jak się wymykamy. Biegłyśmy długo, a później ukryłyśmy się w pustym drzewie. To było szalenie niebezpieczne!

Faktycznie towarzyszyło mi mgliste wspomnienie, że biegnę przez las, trzymając kogoś za rękę. Czy schowałam się w pustym drzewie? Chyba gdzieś się schowałam. Może więc to wszystko była prawda.

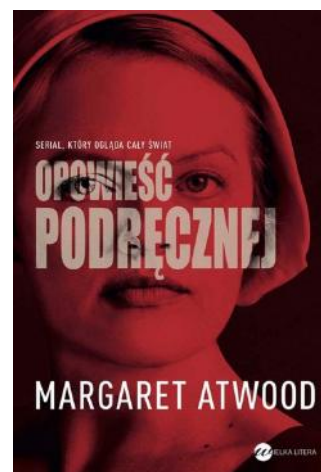
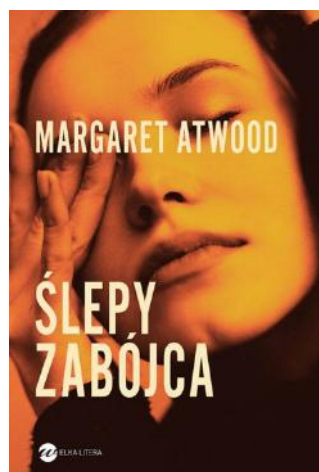
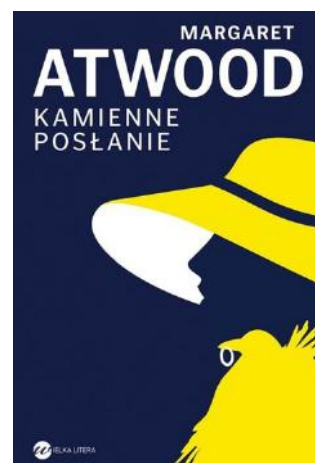
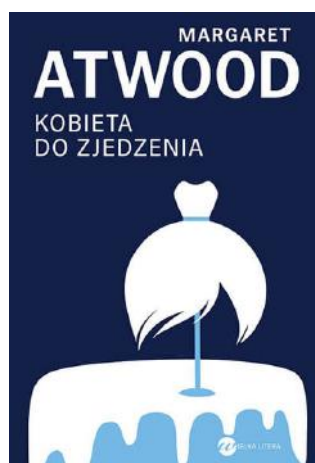
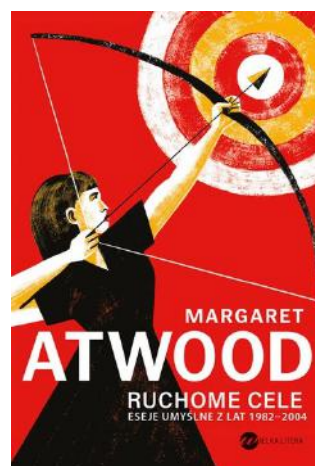
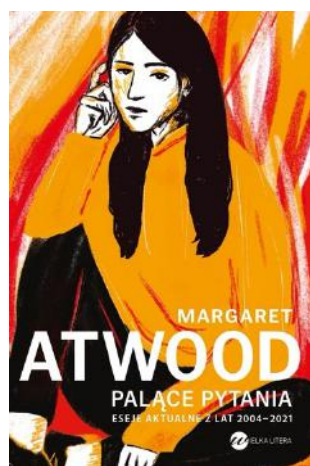
– Co się stało potem? – pytałam.

– Potem przyprowadziłam cię do tego pięknego domu. Czy nie jesteś tu szczęśliwa? Wszyscy tak bardzo cię tutaj kochamy! Czyż obie nie mamy szczęścia, że cię wybrałam?

Przytulałam się do matki, ona obejmowała mnie ramieniem, a ja kładłam głowę na jej chudym ciele, przez które czułam sterczące żebra. Z uchem przyciśniętym do jej piersi słyszałam jej serce łomoczące coraz szybciej, jakby czekała, aż coś powiem. Wiedziałam, że moja odpowiedź posiada moc: mogłam sprawić, że matka się uśmiechnie – albo nie.

Czy mogłam odpowiedzieć inaczej niż dwukrotnie „tak”? Tak, byłam szczęśliwa. Tak, miałam szczęście. Zresztą to była prawda.

Może zainteresować Cię również:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl